

Egz. archiwalny

Urbaniski M. Młody Monolka  
Lubędzin.



Egz. archiwalny III

# Młody Mordka Łabędź

(Z CYKLU „DZIECI ULICY“.)

POWIEŚĆ DLA MŁODZIEŻY.

(Z portretem autora).

Cena 10 kop.



WARSZAWA. \_\_\_\_\_ 1914.

Druk J. Kamińskiego, Nowy-Świat № 52.

<http://rcin.org.pl>

INSTITUT  
BADAŃ LITERACKICH  
IBL  
OTOKA  
00-390 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 22-00-00



# Młody Mordka Łabędź.

(Z CYKLU „DZIECI ULICY“.)



POWIEŚĆ  
DLA  
MŁODZIEŻY.



Cena 10 kop.

*M. F. Urbanski*

(Autor)

WARSZAWA, 1914.  
Druk J. Kamińskiego, Nowy-Świat № 52.

Ojcem młodego, a raczej małego Mordki—jest Judka, zwany Łabędziem. Przewisko to, jak każda niemal rzecz w życiu ludzkim, posiada swoją historję...

Istnieje w Łodzi swego rodzaju, wcale nie pełny przemysł uliczny, polegający na zakupywaniu przeróżnych szmat starych oraz gałganów. Najczęściej jednak skupujący je gałganiarz nie płaci gotówką <sup>1)</sup> za ów odrażający nieraz towar, a tylko naczyniem z gliny, porcelany, nawet z fajansu... Względnie do wartości gałganów—sprzedający otrzymuje od handlarza bądź kubek, bądź dzbanek, bądź wreszcie półmisek, talerz, lub tylko spodek. Rzecz jasna, iż pewną ilość naczyń tego uliczny przemysłowiec ów musi posiadać przy sobie, aby mieć czem płacić za nabywany towar. Nosić atoli z sobą w większej ilości wyroby łatwe do stłuczenia, byłoby niepraktycznie, oraz niewygodnie, a nieraz ze stratą, a także męczące. To też kupiec starych szmat ma wózek, czasem wóz nawet, który dzieli przegródka na dwie połowy: w jedną z nich składa skupowane łachy, w drugiej zaś znajdują się owe naczynia, niezbędne do wymiany na poszukiwany towar. Zamożniejsi handlarze, prawda nieliczni, posiadają nietylko wóz, ale i konia do niego, co znacznie ułatwia im przenoszenie się z miejsca na miejsce w celach poszukiwania zakupu. Biedniejsi natomiast muszą sami ciągnąć, albo też popychać swój wózek o znacznej ciężkości.

O wiele lżejsze wózki są tych, co płacą za gałgany igłami, szpilkami, tasiemkami i t. p. Ale ojciec Mordki—Judka—płacił naczyniem, przeto wó-

---

<sup>1)</sup> W Warszawie skupują gałgany kościarki i płacą gotówką, a towar swój noszą na plecach. W Łodzi jest inaczej.

zek jego, znacznych rozmiarów, do połowy wypełniony „porcelanową monetą“<sup>2)</sup>), był ciężki, a nie miał konia.. Tego kupić jeszcze nie mógł, bo skąpy zarobek uniemożliwiał spełnienie tak doniosłego zamiaru... To też Judka przez kilka lat z rządu sam ciągnął swój wózek po różnych dzielnicach Łodzi. Czy to w dzień pogodny, suchy, czy też w czasie dżdżu i błota—zawsze można było słyszeć w nawiedzanych przez Judkę okolicach piskliwy, przeciągły okrzyk:

— Szma-a-at! Szmat! Szmat! Szmat!

Hasło to znane mieszkańcom miasta:—oznacza ono, że przybył gałganiarz w celu zakupu szmat i wogóle zniszczonej starzyzny, jako to: marynarek, kamizelek, staników damskich i t. d.

Ponieważ Judka nie zaprzestawał swego procederu nawet w dni, pełne słoty, ciągnąc swój wóz po mokradłach i kałużach błota niebrukowanych miejscami ulic, przeto znający go mieszkańcy zwykle mawiali:

— O, patrzcie!... Nasz Judka znów pływa ze swym wozem po błocie — jak łabędź!.. Wkońcu tak się ludzie przyzwyczaili do tego przydomku, że nawet, gdy Judka pojawiał się w czasie pięknych dni pogodnych, nie inaczej dawali znać o nim, jak tylko, iż „Judka płynie ze swym wozem, jak łabędź“. Później jeszcze kończono na jednym wyrazie:

— Łabędź! Łabędź!

I tak przezwisko to przylgnęło do Judki, a z ojca przeszło i na syna Mordkę.

Kto zdaleka patrzył na nich, jak posuwali się ze swym wózkiem, zwłaszcza w porze wiatrów, ten nabierał przekonania, że nadany im przydomek „łabędź“ nie jest przesadą. Ojciec i syn nosili długie, czarne chałaty, których poły wiatr rozwiewał na podobieństwo czarnych skrzydeł ptaka... A że istnieją czarne łabędzie, więc i przezwisko to, nie ze złego serca pochodzące, jest uzasadnione.

\* \*

<sup>2)</sup> Naczyniami.

W chwili naszego opowiadania wózek stoi w jednej z krańcowych ulic miasta...

Judka targuje się o cenę zniesionych gałganów, a jego syn, Mordka, przygląda się i przysłuchuje całej tej operacji. Rysy jego twarzy zdradzają niezwykłą inteligencję, — z oczu tryska roztropność, w połączeniu z łagodnością i smętkiem. Z wiotkiej atoli postaci jego nie odgadłby nikt, iż już skończył lat dziewięć.

Nędza wstrzymała fizyczny rozwój ciała... Ileż to razy chodził do chederu na naukę, nic nie jadłszy w domu, z jedną cebulką w kieszeni na cały dzień prawie!...

Po powrocie z chederu i skąpym obiedzie musiał pomagać matce, przebierając przegnite nieraz, albo pełne kurzu szmaty, i wciągając w swe piersi pył duszący wraz z wonią pleśni. Zatapiając swe drobne ręce w gałgany, często zwracał się do matki z pytaniem:

— Mame!... na co może się ludziom przydać taki brud?...

— Z tego będzie bardzo ładny materiał -- odpowiadała matka. — A z gorszych szmat będzie „fajn“ papier.

— Materiał?... Co to jest materiał?... Mela-med <sup>1)</sup> nic nam o tem nie mówił — a przecie on mądrzejszy jest ode mnie.

Matka nigdy nie zbywała milczeniem pytań Mordki — owszem, starała się zadowolić, czyli zaspokoić ciekawość syna. To też z kolei zwracała się doń z pytaniem:

— A co ty masz na sobie?

— Na sobie?... chałat! A to był chałat ojca, a teraz jest mój, bo go mamie ucięła, coby nie był taki długi, wielki...

— No tak — tłumaczyła matka — ty masz na sobie chałat — no, to jest właśnie materiał... Jakby to nie był materiał — to nie byłby chałat...

Mordka nie bardzo rozumiał to i pokręcał głową.

1) Nauczyciel w chederze.



— Jakto chałat... mój chałat? Przecie mój chałat nie podobny do tych śmieci, co je tate codzień przywoził!

Wobec takich wątpliwości syna matka, pomowoli, musiała udzielać mu szerszych objaśnień...

— Ty musisz wiedzieć, Mordka, co *tate* wszystkie te gałgany odwozi do fabryki na takie maszyny, co nazywają się „wilki“...

— A-jaj! to *oni* tate pogryzą!... Nasz melamed mówił, co wilki z lasu mogą ugryźć...

— Ty się nie bój, Mordka! To nie żadne wilki z lasu: to maszyny z fabryki — to są takie żelazne wilki...

— No, to *oni* mocniejsze jeszcze od tych z lasu, kiedy żelazne... Melamed mówił, co wszystko najmocniejsze—to z żelaza... A jaj! jakie u nich mocne zęby—żelazne zęby! —po co tate tam chodzi?—mogą ugryźć...

— Ty, Mordka, słuchaj, co ja tobie gadam... *Oni* nie ugryzą *tate*, wcale nie ugryzą...

— No to co *oni* gryzą? te brudne szmaty?...

— Oni gryzą te brudne szmaty—odpowiedziała matka z pewnem zadowoleniem, iż objaśnienie szczęśliwie zakończył sam Mordka niejako.

Tu nareszcie zaczynał biedaczek zbierać swe myśli samodzielnie: *tate* kupuje gałgany i przywozi do domu, potem on je z matką przebiera; potem tate odwozi je do fabryki, gdzie są żelazne wilki, co gryzą brudne gałgany, a z tego jest materiał, a materiał—to chałat: taki sam, jak go ma na sobie...

Dopiero ojciec, usłyszawszy raz, iż rozumowania syna nie są zbyt prawdziwe, wytłómaczył mu rzecz o przerabianiu gałganów w sposób jaśniejszy...

— To nie tak jest, Mordka!... Te brudne gałgany jeszcze raz przebierają w fabryce: tam wybierają z nich tylko takie, co są z wełny...

Przy tych słowach Judka pokazywał synowi kawałek wełnianego gałgana i ciągnął dalej:

— Te wełniane szmaty potem wsypują do ogromnej żelaznej skrzyni, zawieszanej w powietrzu tak, iżby się obracać mogła na podobieństwo koła i tak połączonej z wielkim piecem, aby

zawsze dochodził żar do wnętrza... Gdzie zaś zaprowadzono w przemyśle ulepszenia, tam owe żelazne skrzynie wiszą i obracają się w samym środku olbrzymich pieców, szczelnie zamykanych. W tej skrzyni, pod działaniem pary z kwasów, zwanych „krouzot“ i „zalzajer“, gałgany ulegają rozkładowi w ten sposób, że zostają tylko cząstki wełniane, a wszystkie inne spalając się nikną. Stąd oczyszczone te gałgany odnoszą do maszyn, zwanych *wilkami*, a tak urządzonych, iż targają albo szarpią szmaty na strzępy dopóty, dopóki nie otrzyma się ów wełniany, na podobieństwo waty, puch, z którego już będzie można prząść nitki, a z tych tkać materiały: na chałaty, na spodnie, marynarki i t. d. Zrozumiałeś, Mordka?...

Mordka na wszelkie zapytania ojca odpowiedział z entuzjazmem:

— A-jaj! jakie to wszystko mądre!... Skąd oni to wiedzą, jak to się robi?...

— Oni się uczą tego...

— Jakto uczą się?... Nasz mełamed nigdy o tem nic nie mówi...

— Jakiś ty niemądry, Mordka! Tego w chederze uczyć się nie można...

— A gdzie ja się tego mogę nauczyć? Tate, ja się chcę tego nauczyć—czy to nie można?...

Pytanie syna wprowadziło Judkę w pewien kłopot, tem więcej, że Mordka w dzień tej rozmowy z ojcem kończył dziewiąty rok, a z tą datą wiązały się plany ojca Mordki — co do losów ostatniego. To też po dłuższej chwili namysłu odrzekł:

— Ty musisz wiedzieć, Mordka, że ty najpierw, od jutra, będziesz mój koń...

— Jakto koń! — krzyknął zdziwiony Mordka — przecie koń ma cztery nogi, a ja mam tylko dwie nogi!...

— Jakiś ty głupi, Mordka! Ja wiem, co koń ma cztery nogi, ale ty będziesz koń o dwie nogi, jak i inni...

— Jakto inni?... Przecież inni o dwie nogi—to są ludzie... Czy to nie ludzie?...

— No tak... Ale widzisz, Mordka, kto nie ma

konia, ten musi sam dźwigać, nosić — musi sam wszystko ciągnąć... Ty wiesz przecie, że my nie mamy konia, tylko wózek, to ty będziesz mój koń — będziesz ciągnąć mój wózek, a ja ci będę popychać...

Mordka zrazu czuł jakiś szum w głowie, słuchając tych całkiem nowych dla siebie rzeczy... Nagle przecież błysnęła mu inna myśl...

— Tate! — ponowił znów — to te chłopaki już nie będą krzyżeć na mnie „łabędź“; tylko *koń*?... A może *łabędź-koń*?... Jakto będzie?...

— Ty na to nie uważaj, Mordka! My musimy pracować, żeby zarobić na chleb... A jak ty będziesz mój koń, to ty się i uczyć będziesz bardzo wiele dobrych rzeczy!... Ty będziesz wiedział, co i jak robić trzeba samemu: jak kupić, jak sprzedać; jak robią inni, żeby żyć... Ty będziesz wiedział, jak to ciężko ciągnąć swój wózek przez cały dzień i będziesz umiał trzymać każdy zapracowany grosz... Dotąd ja sam byłem „swój“ koń, a teraz to my będziemy jak dwa konie: mój syn, Mordka, będzie ciągnąć, a jego ojciec, Judka, będzie popychać. Czy ty rozumiesz, Mordka?...

Może on z początku i nie zdawał sobie sprawy z doniosłości tych słów, teraz atoli on nietylko rozumie je, ale i odczuwa. Stoi zmęczony, ciężko dyszy, wsparty o wózek.

Dzień w dzień, od samego rana począwszy, zastępuje ojcu konia, ciągnąc ów „gałgański ekwipaż“ i objeżdżając w ten sposób różne dzielnice miasta. A chociaż Judka, popychając, pomaga mu, to jednak nie zmniejsza samego ciężaru, jaki ciągnąć należy. To też rad odpoczywa na postojach w czasie przetargów krótszych lub dłuższych...

Na tych przystankach miał już właśnie sposobność poznać wszystkie tajniki ojcowskiego procederu, i dziś przestały go one interesować. Patrzy i słucha raczej z przyzwyczajenia, ale istota rzeczy nudzi go. Myśli jego błądzą gdzieś daleko, daleko! — bezwiednie zdają się szukać takich miejsc, gdzie Mordka mógłby się uczyć z mądrych książek i równie mądrych rzeczy, choćby takich, jak się

przerabiają w fabrykach na materiały te brudne szmaty... On tak lubi słuchać, ilekroć *tate* opowiada mu o tem. Ale cóż? Gdyby uciekł z domu i poszedł szukać nauki, ojciec pozbawiony byłby w jego osobie konia... Nie! — on już musi być koniem, bo *tate* już od lat kilku cierpi na „jakieś chorobe“, która od pewnego czasu wzmogła się jeszcze: teraz, co kilka kroków ujdzie, niezmiernie kaszle, tak, aż zatyka go... Ojciec Mordki nie mógłby już sam ciągnąć wózka... I *mame* to nieraz powtarza mu, ciężko wzdychając. A tam, w domu, jeszcze jest czworo dzieci młodszych od niego. Mordka zaczyna sobie zdawać sprawę z położenia: zaczyna pojmować, iż jest nietylko koniem dla swego ojca, ale i dla tamtego młodszego rodzeństwa, a nawet dla matki. Często też, w chwilach smutnych rozmyślań, powtarza sobie w duchu zrezygnowany:

— Ja jestem koń na cały nasz dom! Tak — młody Mordka Łabędź jest koń!...

Na tę myśl nieraz łza zakręci mu się w oku i jak jasna perła spłynie po twarzy. Tu jednak przychodzi mu na pamięć refleksja... Po co płakać? Przecież konie nie płaczą!... No, prawda, tamte inne konie mają po cztery nogi, a on ma dwie... Ale co mają cztery nogi do dwóch nóg? Młody Mordka Łabędź jest koń i płakać nie powinien...

Głos ojca po większej części przerywał bieg tych myśli. Otóż i teraz, dokonawszy zakupu szmat, zawołał na syna:

— Mordka! ciągnij dalej!...

Ów, posłuszny rozkazowi, chwycił za dyszelek, dodając:

— Jedziem, *tate!*...

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEK  
60 330 Warszawa, ul. Nowy Świat  
Tel. 26-58-92









F

22.514